

Pierwsza taka Wigilia

WYDAJĄ SIĘ DO SIEBIE PODOBNE.
I NAGLE ZDARZA SIĘ TA JEDNA,
INNA NIŻ WSZYSTKIE.
WYJĄTKOWA.

TEKST **MONIKA KOTOWSKA**

FOTOGRAFOWALI **ZUZA KRAJEWSKA**

i **BARTEK WIECZOREK/Photo-shop.pl**

Kiedy przed nią ukląkł, była zaskoczona. Dokładnie 24 grudnia ubiegłego roku Robert Myśliński oświadczył się Dorocie Zawadzkiej – znanej z telewizyjnego programu „Superniania”. – Nie sądziłam, że po raz drugi w życiu powiem: „Tak”. A jednak stało się – mówi. Zawadzka z niecierpliwością czeka na Boże Narodzenie. Najbliższe święta będą wyjątkowe. – Po raz pierwszy spędzimy je jako mąż i żona, i to na swoim.

Rok temu, w Wigilię, wąskie uliczki w Sopocie zasypały śniegiem. Kasia Kamińska po świątecznej kolacji ułożyła do snu dwuletnią Polę. Od paru dni czuła intuicyjnie, że znów będzie mamą, ale chciała mieć pewność. Tamtego wieczoru ją zyskała. – Wtedy jeszcze marzyliśmy o rodzinnej podróży we troje dookoła świata – zdradza.

– Ale widocznie Bóg miał swoje plany – dodaje, śmiejąc się, jej mąż, polarnik Marek Kamiński. – Świat musiał poczekać. Kay, synek Kasi i Marka, urodził się pod koniec sierpnia. Zbliżająca się Gwiazdka będzie jego pierwszą.

W grudniu 2006 roku Barbara Krafftówna myślała, że w Polsce zostanie tylko przez chwilę. Ostatnie dwadzieścia lat mieszkała w Stanach. Ale 2007 rok okazał się dla niej wyjątkowy. Po bardzo długiej przerwie, za to w wielkim stylu, wróciła na polską scenę. Monodram Remigiusza Grzeli „Błękitny diabeł” w jej wykonaniu zachwycił publiczność i krytyków. A Krafftówna podjęła decyzję – zostaje. I choć nadal trochę tęskni za kalifornijskim słońcem, 24 grudnia z pewnością spędzi w Warszawie.

TAKI WIECZÓR JEST TYLKO JEDEN

Krafftówna opłatkiem przełamie się z siostrzenicą Elżbietą. – Takie są plany, ale w ostatniej sekundzie może się coś zmienić. Nie szkodzi, bo ja uwielbiam niespodzianki – przyznaje aktorka.

Dorota Zawadzka i Robert Myśliński jeszcze nie wiedzą, kto siądzie z nimi przy wigilijnym stole. On ma osiemnastoletnią córkę i piętnastoletniego syna, którzy mieszkają ze swoją mamą. Jędrek, młodszy syn Doroty Zawadzkiej, mieszka z ojcem, jej byłym mężem. Drugi syn, Paweł, już się usamodzielniał.

Ale na pewno Dorota i Robert będą wyglądać pierwszej gwiazdki z okien wspólnego mieszkania na Powiślu. Ubiorą choinkę, która będzie sięgać sufitu. Rok temu do wynajmowanych trzydziestu metrów przynieśli drzewko tak duże, że z jedyne go pokoju z trudem przeciskali się do kuchni.

– Prawdopodobnie spędzimy wigilię z mamą Roberta, ale może zostaniemy sami? – zastanawia się Zawadzka. – Na pewno ze wszystkimi dziećmi spotkamy się przy stole w Boże Narodzenie i wtedy rozpakujemy prezenty.

Na wigiliu u Kamińskich w Sopocie będzie razem dwanaście osób. Kasia i Marek, dzieci: Pola i Kay, dziadkowie i siostra Marka z mężem. Jak zawsze zostawią też puste nakrycie dla niespodziewanego gościa. Znów, jak to lubią, do późna będą razem śpiewać kolędy. „Cicha noc”, „Przybieżeli do Betlejem”, znają ich wiele. A potem zabrzmią one jeszcze w innych językach, po portugalsku, hiszpańsku. Z płyt, które Marek Kamiński przywozi ze swoich wypraw. Przez Internet połączą się z siostrą Kasi, która pracuje na Tenery-

fie. – Mamy wprawę, w ubiegłym roku była akurat na Cejlonie – śmieje się Marek Kamiński. – Poza tym będzie jak w moim rodzinnym domu, gdzie na święta zbierała się cała rodzina. Rozstawiano wielki stół, na którym zawsze musiały znaleźć się czerwony barszcz, smażony karp i słodka, pszeniczno-miodowa kutia z makiem. A ja próbowałam wszystkiego.

– W dzieciństwie nie lubiłam potraw wigilijnych – zdradza Kasia Kamińska. – Siedziałam z pustym talerzem i bałam się odezwać, w końcu prosiłam o kanapkę z serem i herbatę z cytryną, doprowadzając do szaleństwa mamę i babcię.

U Kamińskich na wigilię będą aż trzy zupy. Barszcz czerwony, grzybowa i barszcz rybny. – Ten ostatni to tradycja z domu szwagra – wtrąca Kasia.

– Nie muszę mieć stu potraw ani nawet dwunastu – podkreśla Dorota Zawadzka. – Czasem w moim domu też był żółty ser na wigilię, bo dzieci bardzo go lubiły. Nikt nikogo nie zmuszał do jedzenia. Zresztą nie przepadam za karpem. Zawsze smażył go mój tata, a potem sam wszystko jadł. Ja kręciłam mak. Właśnie kluski z makiem to jest mój smak z dzieciństwa.

– Mnie święta pachną sernikiem... – wzdycha Robert Myśliński.

– Robert wspaniale gotuje, więc z przyjemnością odstąpię mu miejsce w kuchni – dodaje Dorota Zawadzka. – Nie chcę przed Gwiazdką szaleć przy garnkach, a nocami sprzątać. Ma być pięknie, a ja chcę się czuć zrelaksowana i wypoczęta. Dopiero kiedy zwinę się na kanapie, z poduszką i pod kocem, naprawdę poczuje: „Przyszły święta”. A jeśli niewiele zjemy? Trudno – śmieje się.

Barbara Krafftówna wspomina taką wigilię, podczas której na stole, oprócz postnego barszczu, znalazła się tylko jedna potrawa. – W stanie wojennym w sklepach świeciły puste półki, wtedy sięgnęłam po stary przepis na chleb wigilijny – opowiada. – Wydrążyło się bochenek, odcinając dwie piętki. Miąższ mieszało z posiekany drobnym ogórkiem kiszonym, wędzoną rybą, jajkiem na twardo, dodawało sól, pieprz i odrobinę masła, które zresztą sama robiłam ze zdobywanej z trudem śmietany. Potem wkładało się masę z powrotem do formy z chlebowej skórki i na noc do lodówki. Może w tym roku sięgnę po ten niezwykle przepis?

LISTY Z OPLATKIEM

Aktorka chętnie wraca myślami do Wigilii sprzed wielu, wielu lat.

– Na parę tygodni przed Bożym Narodzeniem rodzice ustawiali w salonie specjalny stół, przy nim robiliśmy ozdoby na choinkę z kolorowych bibulek i ze słomek – wspomina. – Moja matka, ojciec, z zawodu architekt, i starsza siostra pięknie rysowali, więc wychodziły im prawdziwe cuda. Po świętach chowaliśmy je na rok do pudeł, w których przechowywane były wszystkie ozdoby. Niektóre miały po sto i więcej lat. Dla mnie były jak największe skarby. Drzewko pojawiało się w domu rodzinnym Krafftówny w ostatniej chwili. Stawało pośrodku salonu dopiero przed południem 24 grudnia. I dopiero wtedy je ubierali. W całym domu panował odświeżony nastrój. To były czasy wielkiej szczęśliwości.

Kiedy Krafftówna miała jedenaście lat, wybuchła druga wojna światowa. Żadna z tak pieczołowicie przechowywanych w domu świątecznych ozdób nie przetrwała.



Barbara Krafftówna wiele Wigilii spędziła w Ameryce. Mieszkała tam dwadzieścia lat. Teraz z wielkim sukcesem wróciła na polską scenę. W tym roku 24 grudnia z pewnością będzie w Warszawie



Nie ma też bombek, które kilkuletni Marek Kamiński, zgodnie z rodzinną kaszubską tradycją, własnoręcznie malował u babci. – W naszym domu wciąż malujemy bombki, zawisną na choince obok tych kupionych w sklepie – mówi. – Mam dwie ulubione: w kształcie łodzi pod pełnymi żaglami i groźnej morskiej orki. A obok jeszcze pachnące imbirem pierniki, delikatne srebrzyste anielskie włosy.

– Może znajdzie się też kilka cukierków, nie zapomnę z dzieciństwa tych podłużnych w kolorowych, błyszczących papierkach – uśmiecha się Kasia Kamińska. – Nie wiem, jak mama je zdobywała w tamtych trudnych czasach. Siadałam pod choinką, czekając, aż będę mogła zjadać zawieszane na niej smakołyki. Przyszając, że czasem wyciągałam słodki środek i zwiniałam papieraś tak, że nie było śladu po moim łakomstwie.

Na choince u Superniani obok mnóstwa bombek zawisną małe karteczki. – To taki nasz wspólny już zwyczaj – opowiada Robert Myśliński. – Piszemy, każde osobno, kilka życzeń dla siebie i bliskich na najbliższy rok. Zwijamy w rulonik i przewiązany czerwoną kokardką wieszamy na choince.

– A potem w sylwestra, wciąż nie pokazując ich sobie nawzajem, wrzucimy do ognia – dodaje Dorota Zawadzka. – Mogę zdradzić jedno marzenie. Bardzo bym chciała, żebyśmy kiedyś wszyscy razem z dziećmi i rodzicami usiedli do wspólnej wigilii. Nie będzie łatwo, ale trzeba marzyć.

W wigilijną wieczór Barbara Krafftówna zadzwoni do syna Piotra, synowej Kasi i wnuka Michała. – Mieszkają w Kanadzie, ale te rozmowy mają dla mnie wielką moc – mówi. – Och, zresztą moje Gwiazdki z synem często bywały niezwykle, bo przez parę lat nie siadaliśmy razem do stołu 24 grudnia. Za pozwoleniem księdza Kazimierza Orzechowskiego z parafii przygotowywałam kolację wigilijną kilka dni wcześniej. Zawsze w grudniu wysyłałam Piotra na parotygodniowe kursy narciarskie. Na święta zniknął, a ja nie wyobrażałam sobie, by nie pozostała mu w pamięci nasza wspólna Gwiazdka. Więc Wigilia w naszym domu była zawsze, a że nie 24 grudnia?

– Czy bywała Pani sama w święta, czuła się samotna? – pytam. – Och nie, choć kiedyś spędzałam je sama chora w łóżku – wspomina. – To było w Los Angeles. Znajomi przynieśli dla mnie własnoręcznie ulepione pierogi. Odbierałam je przez szparę w drzwiach, by ich nie zarazić. Ale potem mimo gorączki wstałam, zawinęłam wokół szyi błyszczący szal, zrobiłam sobie nawet zdjęcie.

O tamtym wydarzeniu opowiada z uśmiechem. – Mam w sobie życiową przekorę – podkreśla. – Tak mnie Pan Bóg stworzył, że dał mi rozum i siłę, by pracować, cieszyć się, miłować i smucić, ale zawsze z wiarą. Bo wiara to potężna siła, nigdy mi jej nie zabrakło. Przez wiele lat Barbarze Krafftównie polski opłatek przysyłała starsza siostra. Po jej śmierci zaczęła dostawać go od wieloletniej przyjaciółki Krystyny Krupskiej-Wysockiej, reżyserki i scenarzystki filmowej. – Czasem był tak pokuszony, że jadłam go łyżeczką, ale był. Moi przyjaciele sprawdzili się w trudnych chwilach. Często zastępowali mi rodzinę. I nie ma przesady, gdy powiem, że nigdy, nawet tysiące kilometrów stąd, nie czułam się oderwana od korzeni. Bo dom jest przede wszystkim w nas.

Krafftówna zamyśla się chwilę. – Ważne, by w życiu polegać na samym sobie, innych wspomagać w miarę możliwości. Naprawdę wiele zależy od nas. Od naszego wewnętrznego nastawienia. Jeśli nie mam własnego ogniska, muszę być elastyczna. Jak mogłabym mieć pretensje, że ktoś o mnie zapomniał?

Marek Kamiński podczas polarnych wypraw wiele razy spędzał Wigilię samotnie.

– Te dalekie podróże były mi pisane. Pamiętam, miałem wtedy z osiem, może dziewięć lat – wspomina. – Przed domem był mały zamrażnięty staw. Po kolacji wigilijnej wyszedłem, położyłem się na lodowej tafli i intuicyjnie przytuliłem do niej. A potem patrzyłem w gwiazdy i czułem się wspaniale.

Wiele lat później na Antarktyce sam śpiewał sobie koledy. Pod biegunem rozchodziło się znajome „Bóg się rodzi, moc truchleje”, bo Kamiński nie oszczędzał mocnego głosu. A na ścianie namiotu flamastrem narysował choinkę.

Biegun południowy zdobył właśnie w święta. – Moim gwiazdkowym prezentem było spełnione marzenie. Myślałem o rodzinie w kraju i wcale nie czułem się samotny. Z pewnością wielu ludzi czuje się bardziej opuszczonych wśród tłumu niż ja wtedy pośrodku śnieżnego pustkowia.

Dokładnie rok później, 24 grudnia, był też na Antarktydzie. – Obudziłem się o świcie, wyszedłem z namiotu i zapadłem się po pas w śnieg – opowiada. – Poda mną była może i dwustu-

metrowa szczelina, a ja namiot postawiłem dokładnie na niej. Dobrze, że tej nocy spałem spokojnie, gdybym przewracał się z boku na bok, być może nie doczekałbym rana. W tamte święta poczułem, jak ulotne jest życie.

Boże Narodzenie nastraja do wspomnień. – W ubiegłym roku po raz ostatni nasza córka Pola usiadła przy stole ze swoją prababcią, mamą mojej mamy – mówi Kasia Kamińska. – Niezwykle było patrzeć, jak mała dziewczynka nie odstępowała kroku kruchej, niemalże dziewięćdziesięcioletniej staruszki. Będzie nam jej brakowało w tym roku. Ale za to po raz pierwszy na wigilii będzie z nami mały Kay. Taką jest kolej rzeczy.

NIE CHCĘ WCALE GWIAZDKI Z NIEBA

Pod koniec ubiegłego roku Barbara Krafftówna wystąpiła z monodramem „Błękitny diabeł”, opisującym ostatnie lata życia Marleny Dietrich. – Długo miałam opór przed tą formą teatralną. Lubiłam oglądać kolegów, ale sama? O nie, takie gadanie do siebie to zboczenie zawodowe, żartowałam. W końcu dojrzałam do tego, że już mogę stanąć samotnie przed publicznością – wyznaje.

W ostatnich minutach spektaklu aktorka nuci: „Ja też jestem tylko po to, żeby kochać mnie...”. Publiczność wszędzie tam, gdzie monodram pokazano: w Warszawie, Gdyni, Tarnowie, Zielonej Górze i Krakowie, nie ma żadnych wątpliwości. Lata mijają, pojawiają się nowe, młode aktorki, a Krafftównę po prostu się kocha. W tym roku warszawski Teatr Dramatyczny obchodzi 50-lecie, a na jego deskach znów można podziwiać Krafftównę. Ostatnio wrzusza jako matka w „Peer Gyncie” Henryka Ibsena w reżyserii Pawła Miśkiewicza. Dokładnie pięćdziesiąt lat temu w Dramatycznym w debiucie reżyserskim u Haliny Mikołajskiej →

Tomek Makowiecki

Ostatnie wspólne zdjęcie



premiera płyty 22.10.2007

www.makowiecki.pl
www.chaos.com.pl
www.myspace.com/makowieckiofficial
www.sonymusic.pl



Tomek Makowiecki Ostatnie wspólne zdjęcie



Roxy FM

empik.com

Gazeta-Gazeta 7936

onet.pl

ma
chi
na

PANI

PRZE
KROJ

VH1



grała Iwonę w „Iwone, księżniczce Bur-gunda” Witolda Gombrowicza. – Te sceniczne role to moje cudowne gwiazdki z nieba i najpiękniejsze prezenty na święta – mówi. – Ale w moim sercu noszę też wspomnienie innych wyjątkowych podarunków. Tuż przed wojną, miała wtedy zaledwie dziesięć lat, dostała od ojca srebrną puderniczkę. – Z kryształowym lusterekiem, emaliowaną miniaturką, po prostu istne dzieło sztuki – opowiada. – Pamiętam reakcję matki: „Przecież to dziecko”, i odpowiedź taty: „Mylisz się, moja droga, to jest kobieta”. Zapamiętałam te słowa na całe życie. Puderniczka zaginęła. Ale wciąż jej szukam, wydaje mi się, że gdzieś na świecie na nią trafię...

– Nie mam wielkich potrzeb materialnych, przez lata żyłam ze skromnej pensji nauczyciela akademickiego – mówi Dorota Zawadzka. – Nie muszę otaczać się rzeczami, raczej ludźmi, emocjami. A swój prezent już dostałam – Roberta. To nagroda za wszystkie lata, kiedy w moim życiu nie było najfajniej.

W rodzinnym domu Doroty Zawadzkiej zawsze było pod choinką mnóstwo prezentów. – Rodzice uważali, że skoro nie są zamożni, to przynajmniej zasypią mnie i siostrę tysiącem drobiazgów.

Dorota jeszcze niedawno pakowała oddzielnie każdy samochodzić z wielkiego zestawu żelazniaków kupowanego dla synów. – Bawię się przy tym. Kolorowe papiery, kokardy... Może kilka osób będzie zszokowanych, bo to takie niepedagogiczne, ale moi chłopcy zawsze rozpakowywali po kilkadziesiąt prezentów. I długo wierzyli w Świętego Mikołaja. Ja sama zresztą też.

– Niedowiarkom polecam film „Cud na 34. ulicy” w reżyserii Lesa Mayfielda – wtrąca mąż Doroty. – Święty Mikołaj istnieje, to udowodnione.

– Kiedyś byliśmy w wiejskim domu moich rodziców na wigilii – wspomina Zawadzka. – Jędrę i Paweł mieli wtedy po kilka lat. Zapadał zmierzch. Tata chodził wokół domu i pukał w szyby, a oni dwaj biegali jak szaleni, wyglądając przez okna. Wreszcie pod drzwiami znaleźli przyprószony śniegiem worek z prezentami. – Kto choć raz nie napisał listu do Mikołaja, musi koniecznie to jeszcze zrobić – namawia Robert. – Nigdy nie jest za późno.

– Pisywało się listy, a jakże – opowiada Superniania. – Pytałam moich synów, czy mogą je przeczytać, a potem starałam się kupić wszystko, o czym marzyli. Co roku z rozbawieniem składałam w zdania nierówne literki pisane dziecięcą ręką: „I jeszcze nowe kapcie dla rodziców”. Zachowałam parę takich listów do dziś.

O co poprosi Świętego Mikołaja w tym roku Kasia Kamińska?

– By mieć jak najwięcej czasu dla tych, których kocham – odpowiada bez wahania.

W ostatnią Wigilię napisała na szybie „Bóg się rodzi” i narysowała gwiazdę betlejemską. Parę dni później w dach uderzyła petarda. Wybuchł pożar. Na szczęście nikomu nic się nie stało, ale dom został mocno zdewastowany. – Kiedy wszedłem do mieszkania po akcji ratowniczej, spojrzałem przez nasze okno i przeczytałem słowa pisane ręką żony – wspomina Marek Kamiński.

Część kamienicy, w której mieszkali, była nietknięta.

– Czyżby dzięki temu, co napisała Kasia, tragedia nas nie dotknęła? – zastanawia się polarnik. – Chcę myśleć, że tak. W życiu trzeba się otaczać dobrymi myślami. Mają magiczną moc, nie tylko w święta. ■